

Ludwik Dorn o podmiotowości specjalnie dla TP. Część III: Pożegnajmy się z koncepcją IV RP

Kryzys wschodni zwrócił uwagę zarówno elit, jak i szerszego ogółu, na potrzebę podmiotowości



Kryzys wschodni zwrócił uwagę zarówno elit, jak i szerszego ogółu, na potrzebę podmiotowości - publikujemy trzecią część ankiety Ludwika Dorna, który odpowiada na nasze pytania dotyczące podmiotowości politycznej:

Przeczytaj część pierwszą

Przeczytaj część drugą

Teologia Polityczna: Czy Polacy są przygotowani do zbudowania podmiotowości lub jak należy ich do tego przygotowywać? Czy istnieją jakieś wzorce, którymi powinniśmy się kierować?

Ludwik Dorn: Na te dwa pytania odpowiem razem. Zaczniemy od tego, że w Polsce podmiotowość wspólnoty politycznej, w rozumieniu powyżej wyłożonym, chyba nigdy nie miała dużej siły mobilizacyjnej, nie przyciągała i nie pociągała. Była kwestią przeżywaną bardziej przez część tylko wąskiej elity politycznej, a nie przez nią całą, a tym bardziej przez szeroki ogół zainteresowany polityką. Inaczej oczywiście było z wolnością, niepodległością, bezpieczeństwem. W sytuacji Polski podmiotowość można uznać za warunek zachowania wolności, niepodległości i bezpieczeństwa, ale nie sądzę, by związek ten był powszechniej postrzegany jako silny i by sama podmiotowość była na tyle atrakcyjna, by uzasadniała wysiłki i wyrzeczenia, jakich wymaga stałe, mężne i roztropne stawianie czoła zmiennym obrotom Fortuny.

Natomiast okolicznością pocieszającą związaną z wydarzeniami bieżącymi jest to, że kryzys wschodni zwrócił uwagę zarówno elit, jak i szerszego ogółu, na potrzebę podmiotowości. Powiązane z potrzebą bezpieczeństwa pytania o to, na co mamy, a na co powinniśmy mieć jako państwo wpływ, na co nas stać, a na co nie, na kogo i w jakim zakresie możemy liczyć uznane zostały za sensowne i ważne. To istotna zmiana sytuacji. Nawet jeśli ta potrzeba podmiotowości jest przeżywana chwilowo, to jednak zaistniała i ujawniła się.

Drugą przesłanką sprzyjającą rozpoczęciu budowania podmiotowości jest to, że dwa największe obozy, choć śmiertelnie ze sobą skonfliktowane, formułują identyczną w gruncie rzeczy ocenę niepodmiotowej pozycji Polski w Unii Europejskiej, oba usiłowały tę pozycję zmienić na korzyść i oba poniosły porażkę. Nie sformułowano odpowiedzi na pytanie: A zatem...?, ale też nikt w tych dwóch obozach nie sugerował, by z dążenia do podmiotowości zrezygnować. Ponadto w konfrontacji z kryzysem wschodnim i agresywną polityką Rosji okazało się, że oba obozy w sposób bardzo zbliżony definiują sytuację Polski i identyfikują podstawowe interesy narodowe.

Przesłanką trzecią jest to, że narastający krytycyzm wobec inercyjno-biurokratycznej polityki rozwojowej prowadzonej przez kolejne ekipy został wyartykułowany przez ośrodek polityczny, którego rola rośnie i będzie rosła – Prezydenta RP. W orędziu prezydenckim z 4 czerwca 2014 roku prezydent Komorowski stwierdził, że po 25 latach transformacji Polska potrzebuje „nowego modelu wzrostu”, co było deklaracją cokolwiek rewolucyjną.

Wreszcie po czwarte, brak podmiotowości, słabe „teoretyczne” państwo zaczynają doskwierać coraz większej części elit politycznych i gospodarczych i coraz liczniejszą grupę interesów. Zaczniemy od tego, że w znanej rozmowie minister Bartłomiej Sienkiewicz i prezes Marek Belka opisując stan polskiego państwa i to zarówno o wtedy, gdy chodzi o trudności z koordynacją, jak i poczucie bezkarności „tłustych misiów” używają języka swoich krytyków, chociażby Jarosława Kaczyńskiego i Ludwika Dorna. Nie rozmawiali o diagnozie takiego stanu rzeczy i zapewne jest ona inna niż w przypadku prezesa Kaczyńskiego i moim, ale z niektórymi pożądanymi pomysłami zmian

ja przynajmniej gotów byłbym się zgodzić. Same „tłuste misie”, a przynajmniej niektóre z nich do postulatu silnego, podmiotowego państwa mają obecnie stosunek nie wrogi, ale ambiwalentny. Z jednej strony nadal go się obawiają, bo skończyłyby się czasy bezkarności. Z drugiej strony zaczynają odczuwać, że go potrzebują, bo brak silnego państwa polskiego po ich stronie, stwarza przewagę konkurencyjną ich zagranicznym rywalom, za którymi podmiotowe, silne państwa stoją. Odnoszę wrażenie, że program silnego, podmiotowego państwa jest obecnie, jeśli zostanie umiejętnie politycznie zoperacjonalizowany, o wiele mniej „toksyczny” politycznie niż parę lat temu.

Wreszcie czynnik piąty – pojawienie się nowoczesnego polskiego patriotyzmu. Polskość nie jest już przeżywana jak w latach dziewięćdziesiątych jako apolityczna kategoria kulturowo-folklorystyczna, ale jako kategoria kulturowo-polityczna.

Tyle, jeśli chodzi o wyliczenie czynników i przesłanek politycznie pożądaną zmiany – kursu na podmiotowość. Teraz przejść wypada do blokad i czynników oraz okoliczności przeciwdziałających.

Jako pierwszą w tej kategorii należy wymienić polską *stasis*, o której już wspomniałem w kontekście katastrofy smoleńskiej, ale rzecz w tym, że trauma smoleńska nałożyła się na dwa potężne zbieżne konflikty społeczno-polityczne. Dała im niesłuchanie dramatyczną artykulację polityczną, wysoką temperaturę emocjonalną i bardzo silny komponent moralny, co jest zaiste mieszanką wybuchową, ale ich nie stworzyła. Pierwszy z tych konfliktów to bezpardonowa walka o dystrybucję szacunku społecznego, w której poszczególne grupy dokonały odmiennych afiliacji politycznych. Drugi, nakładający się na pierwszy,

to stary spór między „swojskością” a „cudzoziemszczyzną”, który odżył w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych i został wyzwolony przez imitacyjną modernizację/europeizację. Bez wyjścia ze stasis budowa podmiotowości nie jest możliwa.

Czynnik drugi można określić jako nierównowagę wysiłku i koncentracji uwagi. Rzecz polega na tym, że, o ile, pomijając maniaków podmiotowości takich, jak niżej podpisany, dla tej części elit i grup interesów, które gotowe byłyby współdziałać z programem budowy polskiej podmiotowości, jej brak jest pewną niedogodnością, z którą daje się żyć, o tyle dla innych podmiotów sprawczych, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych, silne, podmiotowe państwo polskie byłoby istotnym kłopotem, z którym żyłoby się o wiele trudniej niż dotychczas. Perspektywa niepewnego zysku mobilizuje słabiej niż pewnej straty. Jedną z najważniejszych osób w obecnym układzie władzy, gdy rozmawiałem z nią o niezbędnych zmianach dotyczących jednej z polityki sektorowych, powiedziała mi: Słuchaj Ludwik, masz rację, ale jak i kim to zrobić. Przecież sam wiesz najlepiej, jak się tym burdelem zarządza. Oznaczała to tyle: działamy w takiej rzeczywistości, jaka jest i nie bardzo mamy jak i kim ją zmienić, więc przyjmijmy to do wiadomości i kijem Wisły nie zawracajmy.

Czynnik trzeci ma charakter kulturowy, a określa go zbieżne oddziaływanie postmodernistycznej koncepcji indywidualnej konsumpcji, do której odwołują się zwolennicy modernizacji imitacyjnej, oraz narodowej tradycji sarmackiego republikanizmu, do której odwołują się ideologiczni zwolennicy podmiotowości politycznej współczesnego państwa polskiego.

Jeśli cieńsze i całkiem grubaśne tomy dzieł postmodernistów sprowadzić do cieniutkiej broszurki kształcącej marketingowców konsumpcji, to wychodzi z tego tyle: dekonstruuj świat zastany, rozbijaj go, uwalniaj się z więzów tradycji i wspólnotowości, po to, by jako prywatny wyzwolony podmiot stworzyć swój własny konsumpcyjny koszyk stylów życia, przepisów kulinarnych, seksualności, rodzinności, eksploracji. W ten sposób osiągniesz indywidualne szczęście i zrealizujesz siebie. Łatwo zauważyć, że jest to dość banalna wariacja na temat opisaną przez Constanta „wolności nowożytnych”, którą przeciwstawiał republikańskiej „wolności starożytnych”. „Postęp cywilizacji, rozwój handlu /.../, komunikowanie się ludzi ze sobą, nieskończenie pomnożyły i zróżnicowały środki służące osiągnięciu indywidualnego szczęścia. Aby zdobyć szczęście ludzie potrzebują jedynie pozostawienia im pełnej niezależności w tym wszystkim, co dotyczy ich zajęć, ich przedsiębiorstw, ich sfery działania, ich marzeń”. Różnica między Constantem a postmodernistycznymi marketingowcami polega na tym, że Constant myślał o niezależności od państwa, a ci drudzy o wyzwoleniu się spod władzy obyczaju, wspólnoty, historii, nawyku, tradycji, dyscypliny intelektualnej. Jest to różnica co do zakresu, ale nie zasady.

Wspominam o tym dlatego, że przeciwnicy modernizacji imitacyjnej, a zarazem adherenci politycznej podmiotowości szukając tradycji rodzimej, w której mogliby zakorzenić swe intuicje polityczne (bo o programie trudno mówić) wynaleźli sobie tradycję sarmackiego republikanizmu. Polityczny, ale także intelektualny problem w tym, że z punktu widzenia budowy podmiotowości politycznej jest ona szalenie dwuznaczna. Nawet więcej – przeciw skuteczna. Parokrotnie pisał o tym, rekonstruując zasady działania konfederackiego, Dariusz Gawin, ale nie domyślał sprawy do końca. Konfederaci konfederują się, by

bronić wolności, a gdy już na koń siędą i wroga, który na wolność nastaje (może to być obca potencja, ale może też być Maria Ludwika, która absolutum dominium i vivente rege chce zainstalować) szablami wygolą (jak Lubomirczycy, którzy po bitwie pod Mątwami wyróżnili kwiat wojsk koronnych, mniej więcej tyle bezbronnych jeńców, ile Kozacy po bitwie pod Batohem), to rozjeżdżają się do domów, by realizować się kultywując apolityczną towarzyskość politycznego narodu. Z tego punktu widzenia partią sarmackiego republikanizmu okazała się Platforma Obywatelska, a największym republikanem Donald Tusk. W 2007 roku sprzeciwiając się PiS-owskiemu absolutum dominium zawiązał konfederację (pamiętne: zmień kraj, idź na wybory), że nie wiadomo, za czyje pieniądze, to nie szkodzi, w przypadku konfederacji nikt w to za bardzo nie wnika; wygrał bitwę i „dorznął watahę” (jak po bitwie pod Mątwami), a następnie ogłosił, że wolność jest ubezpieczona i można się nią cieszyć, czyli apolitycznie i towarzysko grillować osiągając szczęście.

Polskiemu dążeniu do politycznej podmiotowości przeciwstawiają się zarówno uzasadnienia i praktyka modernizacji imitacyjnej, jak polityczny opór wobec niej odwołujący się do wymyślonej tradycji sarmackiego republikanizmu. Popularność tej tradycji w elitarnych kręgach przeciwników modernizacji imitacyjnej bierze się chyba z nostalgii za czasami, gdy Rzeczpospolita była potęgą i nie dzielił jej spór na zwolenników swojskości i stronników cudzoziemszczyzny. To dość elitarna zabawa, ale tym, którzy się jej oddają polecam uważną lekturę przywołanej już powieści Malewskiej „Panowie Leszczyńscy”. Akcja powieści rozgrywa się z grubsza między polsko-szwedzkim rozejmem w Sztumskiej Wsi a wiktoria wiedeńską. Opisuje Rzeczpospolitą Szlachecką, świat, który „ istniał, i afirmował siebie i swą słusność z taką śmiałością, że to już wówczas przestraszało wielu”; opisuje „ kraj gdzie ludzie zjeżdżając się z osobnych jak

gwiazdy i spokojnych domów, współdziałali, żeby być wolni, więc żeby najbardziej być sobą; Rzplita, która sama też nie chciała współzawodniczyć, ani mierzyć się z nikim.” Opisuje kraj, którego z samoafirmacji nie wyrwały ani zaburzenia wewnętrzne, ani niszczące wojny. Rzeczpospolita, która nie chce ani współzawodniczyć, ani mierzyć się z nikim nie może być podmiotowa. Obywatele, którzy chcą być wolni po to, by cieszyć się byciem sobą nie są zdolni do wsparcia podmiotowości, której praktykowanie polega na stałym wysiłku i czujnej uwadze.

Z powyższego wynika, że nie mamy ani wzorców, ani tradycji, do których możemy zabiegając o podmiotowość się odwołać. Nie oznacza to, że jesteśmy skazani na wykorzenie z historii. Tytułem przykładu przywołam trzy postaci, dwóch polityków i jednego pisarza, które program politycznej lub duchowej podmiotowości Polski i Polaków realizowały, wchodząc z zastanym kształtem polskości w bardzo ostre spory. Mam na myśli Romana Dmowskiego, Józefa Piłsudskiego i Witolda Gombrowicza.

W takim kontekście politycznym i społecznym należy myśleć o budowie podmiotowej Rzeczpospolitej. To zadanie trudne, ale nie beznadziejne. Należy wiedzieć co i jak robić, ale jeszcze ważniejsze jest to, czego i jak nie robić.

Przede wszystkim należy radykalnie zerwać z koncepcją podmiotowego przełomu, wielkiej reformy dokonywanej przez maszyną interwencją politycznego ośrodka reformatorskiego w struktury społeczne, polityczne i państwowe. Pożegnajmy się z koncepcją IV Rzeczpospolitej, wyciągnijmy wnioski z ciężkiej porażki. Alternatywną

taktyką przy realizacji strategicznego celu jest częściowa, melioracyjna inżynieria polityczna połączona z inkrementalnym zarządzaniem zmianą. Chodzi o wykorzystywanie „okienek możliwości” dla zmian częściowych, np. reformy centrum decyzyjnego rządu, oraz dbanie o to, by poszczególne skromne zmiany częściowe wchodziły ze sobą w interakcję, dając efekt synergii.

Po drugie, należy stale pamiętać, że o ile program budowy podmiotowości sam w sobie jest atrakcyjny dla nielicznych, elitarnych grup, to nie ma siły mobilizującej dla elit jako całości, nie mówiąc już o masowym oddziaływaniu. Siłę tę mają natomiast takie cele/wartości jak wolność, rozwój, niepodległość, bezpieczeństwo, porządek, stabilizacja i do nich w procesie zmian należy się odwoływać. Podmiotowość w Polsce jest jak poezja, a „poezji nikt, panie, nie zji”.

Po trzecie, co kieruję do części radykalnych krytyków III RP, należy się pożegnać z pomysłem przeciwstawiania „dobrego” narodu/ludu „złym” elitom, które ów dobry naród oszukują, zwodzą, wykorzystują i pasożytują na nim, mając go za nic. Przeciwwstawieniu temu towarzyszy raczej publicystyczna niż polityczna koncepcja wyłonienia „dobrej”, narodowej kontr-elity i objęcia przez nią władzy. Pomijam już to, że środowiska tak myślące mogą działać jedynie w ramach ruchu antyestablishmentowego, który skupia się na retoryce rewolucyjnego przełomu, ale żadnej reformy państwa nie jest w stanie przeprowadzić. Istotniejsze jest to, że taki opis stanu obecnego, w którym wyróżniona jest łże-elita oraz stanu pożądanego, w którym do znaczenia dochodzi kontr-elita, jest całkowicie fałszywy. Czesław Żnamierowski w znakomitym eseju „Elita i demokracja” (z 1928 roku) trafnie zwrócił uwagę na to, że w każdej elicie społecznej występuje element pasożytniczy i element rycerski i zawsze elita pasożytnicza ma nad

elitą rycerską miażdżącą liczebną przewagą. Tym co różni elitę rycerską od pasożytniczej jest samoświadomość funkcji, zdań i celów i stosunek do residuum – tych, którzy elitą nie są. Dla elity pasożytniczej residuum istnieje tylko” jako rezerwa środków dla osiągnięcia jej własnych, egoistycznych celów”. Dla elity rycerskiej „społeczne wyróżnienie nie jest tu wysoko nad domami położonym tarasem, na którym grzać się można bez obawy, iż cień przyćmi radosną jasność; jest raczej strażnicą wzniesioną wysoko po to, by z niej można było w niesłabnącym wysiłku śledzić zbliżanie się zła do bezradnych w swej przyziemności domów/.../ W konkretnej, naturalnej społeczności elita, w całości wzięta, jest zawsze elita pasożytnicza/,,,/Wszystko bowiem w życiu społecznym składa się na to, iżby postawa rycerska była kosztownością najrzadszą. Powstaje/.../ jako spontaniczna mutacja”. Znamierowski zwraca uwagę na to, że element rycerski, choć bardzo słaby liczebnie, jest bardziej ekspansywny i mobilny niż element pasożytniczy, gdyż ma wytyczone cele – zmiany, i żyje w stanie większego napięcia duchowego. Element rycerski znajduje się w konflikcie z elementem pasożytniczym w obrębie jednej elity społecznej ze względu na konfliktowość celów i zadań, a zarazem współpracuje z nim właśnie dlatego, że należy to tej samej elity.

Dla kursu na podmiotowość oznacza to następujące praktyczne zadania. Po pierwsze, pracę intelektualno-formacyjną zarówno z członkami elity społecznej, jak i aspirantami do niej, by „rycerskością” zarażać jak najszerszy krąg osób. Spontaniczna mutacja, o której pisał Znamierowski to jedno, ale można zwiększać, choćby nieznacznie, prawdopodobieństwo takiej mutacji.

Po drugie, należy dążyć do tego, by element rycerski przestał działać w rozproszeniu. Nie chodzi oczywiście o założenie partii „rycerskiej”, coś takiego jest niemożliwe, a byłoby głupie. Chodzi o dążenie do nawiązywania kontaktu i efektywnego współdziałania przez element rycerski umiejscowiony w różnych miejscach struktur instytucjonalnych i politycznych. Wymaga to wychodzenia poza opłatki nie tylko afiliacji partyjnych, ale kręgów środowiskowo-ideowych.

Po trzecie, „rycerze podmiotowości” muszą zrezygnować z komfortowej moralnie pozycji recenzentów rzeczywistości spełniających się w werflowskiej aktywności: ja wam rzucam myśl, a wy go łapcie. Budowanie podmiotowości Rzeczypospolitej wymaga praktycznej mądrości politycznej, a praktyczną mądrość polityczną osiąga się praktykując politykę, co nie musi oznaczać, podkreślam, działalności partyjnej. Oznacza to wykorzystywanie każdej okazji gdy otwiera się już nie okno, ale lufcik możliwości i wchodzenie weń, a nawet wpełzanie z myślą: a może teraz się uda. Wymaga to na ogół dość niemiłych politycznych lub moralnych kompromisów, ale... dla Polski taczkami gnój wozic.

Po czwarte, element rycerski musi zrewidować swój stosunek do elementu pasożytniczego i przestać traktować go jako wroga do eliminacji. To raczej naturalne środowisko działania w ramach elity społecznej, które należy nie zniszczyć, ale wykorzystać, przechytrzyć, wymanewrować, zawrzeć z nim cząstkowy kompromis.

I to by było na tyle.

Ludwik Dorn

**Przeczytaj także odpowiedzi Jana Rokity dotyczące
podmiotowości politycznej, które przygotował specjalnie dla TP**